

Opowieści z za mgieł

Rozdział IV

Walenty

Spacer się przeciągał. Mgły dawno już umknęły za horyzont, chmury przepuściły słońce. Kazimiera powoli dreptała obok męża. Serce od dawna nie radziło sobie z rytmem życia, tak łatwo było o zgubienie tchu. Choroba doskwierała coraz bardziej.

Mieczysław kuśtykał równie niespiesznie. Mimo protezy nogi mógł pozwolić sobie na szybsze tempo, jednak żona nie powinna się przemęczać. Rzadko razem wychodzili, Kazia musiała spędzać czas głównie przy stole czy w łóżku. I w spokoju. Dlatego teraz rozkoszowali się każdą sekundą.

– Przysiadźmy na chwilę. – Mietek wskazał pobliską ławeczkę.

Kazimiera z ulgą skorzystała z propozycji.

– Wszędzie tu kiedyś rozciągały się korowody drzew – westchnęła, obejmując wzrokiem skupisko bloków. Poczła woń rozświetlonego sadu.

– Zbierajcie się, dzieciaki, zbierajcie. Kazia! Zdych! To najlepsza pora.

Ojciec wszedł do izby, przynosząc zapach poranka. Zdysiu wiedział już, że rosa zeszła z traw, ale słońce jeszcze nie obudziło się na dobre, nie nagrzało owoców.

Kazia próbowała zachować należytą powagę, ale zupełnie jej to nie wychodziło. Dostojnie wygładziła spódniczkę, by za chwilę popędzić beztrąsko przed siebie. Radość rozpierała ją tak wielka, że aż zmuszona była kategorycznie zabronić sobie podskoków. Tydzień temu skończyła wszak jedenaście lat! Beztrąska w końcu jednak zwyciężyła i dziewczynka pognała ku sadowi niczym wichur.

Walenty przystanął i spojrzał w zielone chmury, kołyszące się nad ziemią, przytwierdzone pniami, by nie odleciały. To jego spokój, jego przystań. Po wojnie trudno mu było odnaleźć świat, w którym potrafiłby odetchnąć. A teraz, gdy popatrywał na szczęśliwą twarz córki biegającej pod lekko szumiącymi parasolami, przychodziło to tak łatwo. Obok syn – rozważny, z mądrymi oczyma. Rozumiejącymi, czującymi podobnie. Czasem pobłyskiwały w nich łobuzerskie ogniki, ale takie jest prawo trzynastolatka. Prawo, które Walenty starałby się synowi narzucić, gdyby ten nie zechciał zeń korzystać.

Rozglądając się wokół, westchnął głośno i klepnął Zdzisia w plecy.

– Do roboty, brachu – powiedział wesoło i z zadowoleniem patrzył, jak syn mknie do pierwszej jabłoni, gdzie wśród stokrotek przycupnęła już Kazia.

Uradowany skrzyżował ręce na piersiach. Wiedział, że dzieci potrafią łapczywie chleptać życie niczym rzešką i czystą wodę ze strumienia. Wiedział, że będą robić to mądrze, a równocześnie z zapalem i niegasnącą ochotą.

Nagle jednak uśmiech przygasł, coś go zakłuło w sercu. Gwałtowny niepokój rozlał się po ciele. Ale machnął tylko ręką, pokręcił siwiejącą głową i chcąc przerwać nieznośną chwilę, ruszył szybkim krokiem do dzieci.

Kochały ojca ponad miarę. Czekwały, aż podejdzie i – jak co roku – zerwie pierwsze jabłko. To z najwyższej gałęzi, to, do którego dosięgał tylko on.

Położył na dłoni dorodny owoc, żółty niczym słońce. Potem rozpostarł pośród trawy materiał i z szacunkiem umieścił na nim antonówkę. Jak skarb. Podzielił jabłko na sześć księżyców. Zobaczyli brązowiejące nasiona. Pokiwali wesoło głowami. Tak, przyszła pora na zbiory.

Kazia i Zdziś wzięli swoje części, Walenty odłożył jeszcze jedną, a resztę zawinął w chustę – dla żony, Heli i Janinki. Stanisławie zostawił kawałek największy, z uśmiechem wspominając okrągły brzuch i baraszkującego w nim Czesia.

Jakże przyjemnie było zanurzyć zęby w tej malutkiej porcji szczęścia! Twardy, soczysty mięsz wypełnił usta. Intensywny zapach spowił trójkę kosztujących dary ziemi, a kwaskowaty posmak przypomniał o treści życia.

Po króciutkiej uczcie Zdzisiu stwierdził, że najwyższy czas, by antonówki opuściły pielesze wśród liści. Oparł drabinę o pień i wspiął się po drewnianych szczeblach. Żółte słońca na zielonym niebie nęciły kolorem i obietnicą dla podniebienia.

Zrywał jabłka z uwagą, nie chciał żadnego strącić. Delikatnie chwycił owoc, by nie uciskać za mocno palcami skórki. Przekręcał i pociągał ku sobie. Szypułki owoców łatwo odrywały się od gałązek, co znaczyło, że przybyli w samą porę.

Po chwili jabłko spokojnie lądowało w skrzynce. Tym zajmował się Walenty. Układał antonówki z namaszczeniem.

– Jeszcze trochę poleżakują. – Patrzył na zbiory, chwytając się pod boki ukontentowany.

Kazia starała się dorównać bratu, ale niecierpliwość i rozpierająca ciało energia strząsały jabłka z gałęzi. Zafrasowana dziewczynka zerknęła na ojca. Wiedziała, że tylko nieuszkodzone owoce mają szansę na przechowywanie.

– Te będą w sam raz na marmoladę, Kaziu. – Walenty pogłaskał córkę po jasnej główce. – A i może dzisiaj mama racuchów nasmaży?

Kazia z radością klasnęła w dłonie.

Następnego dnia ruszyli na antonówkowy połów dużo wcześniej. Jeszcze nim słońce wypłatało się z pieleszy. Walenty, jak to tradycyjnie na początku września, chciał zrobić dzieciom przyjemność, gdyż uwielbiały obserwować spośród jabłoni i grusze słońce, kiedy zdejmowało piżamę. Dziś będą jedli. Ile brzuch pomieści. To ich niepisane prawo w pierwszym dniu szkoły.

Oparli plecy o pień drzewa, koc chronił przed rosą. Mgły delikatnie bujały się na gałęziach, a czyste niebo szeptało o nadchodzącym świcie.

Wtem usłyszeli wołania syren alarmowych, lecz pamiętali, że na dziś zapowiadano alarm próbny dla Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej. Jednakże zaraz potem przeraźliwy ryk potargał ciszę i grzmot rozdarł rozmarzenie spieszącego do ludzi poranka. Walenty skoczył na równe nogi i przygarnął dzieci. Spojrzał ku miastu. Już wiedział.

Wycie syren trwożyło uszy, tumany pyłu niczym zakurzone mgły pulsowały nad uśpionymi przed chwilą dachami.

Kolejny huk. Jakby świat pękał.

Na polach zjawili się pierwsi uciekinierzy. Niektórzy w piżamach. Jeden z nich wpadł między jabłonie i grusze.

– Wojna, panie! – krzyknął i ruszył dalej, ale raptownie znowu się zatrzymał. – Walenty!

– Ludzie, pierwsze bomby na szpital! – wrzasnął przebiegający nieopodal człowiek.

Walenty przytulił dzieci i spojrzał na sąsiada.

– Stasia wczoraj zatrzymała się w mieście z Janinką i Helenką, żeby z samego rana kupić kokardę dla Kazi, bo szkoła, a nikt wcześniej nie pomyślał...

Sąsiad zdumiał się słowami Walentego, którego znał jako milczka. W dodatku w takiej chwili wydawały się zupełnie bez sensu.

– Co ty gadasz, chłopie! Wojna!

I nagle zrozumiał.

– Leć, Walenty. Wezmę dzieciaki na ten czas. Będziem czekać. Wiesz gdzie.

Zdziś i Kazia długo patrzyli w oczy ojca. Powiedziały im wszystko. Walenty uściskał mocno swoje pociechy i pobiegł w stronę miasta. Nie spuszczały z niego wzroku.

Dotarł do pierwszych domów, gdy kolejny wstrząs rozdygotał budynki. Zanim spowiła go szara mgła pyłu, upadł.

Zdzich ścisnął dłoń siostry.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Wasinka, dodano 02.09.2014 09:48

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.